

LEON ZIELIŃSKI

St. strz. Leon Zieliński, 45 lat, wędliniarz, kupiec, żonaty, dwoje dzieci.

Zostałem zabrany do niewoli sowieckiej wraz z oddziałem 22 września 1939 r. w Werbach pod Włodzimierzem Wołyńskim.

Następnie pędzono nas do Łucka, gdzie na trzeci dzień załadowano do wagonów, po 80 ludzi i więcej, bez pożywienia i wody powieziono do Szepietówki. Dopiero na trzeci dzień wydano po pół litra zupy i ok. 300 g chleba na dobę. Ten stan trwał blisko dwa tygodnie, po tym czasie partiami po jakieś dwa–trzy tysiące ludzi popędzono bez żadnego zaopatrzenia i odpoczynku z powrotem do Ostroga, a następnie do Zdołbunowa, gdzie znów załadowano do pociągu i przewieziono do Barszczowic koło Lwowa, a następnie okrężną drogą przez Jaryczów Stary do Podlisek, 12 km od Lwowa. Tam urządzono obóz w budynkach folwarcznych.

Początkowo zakwaterowanie i wyżywienie było bardzo marne, ok. 400 g chleba i raz dziennie bezwartościowa zupa, wieczorem i rano tylko herbata i o tym pędzono na robotę przy przebudowie drogi na trasie Lwów–Kijów. Prace rozpoczęli ok. 10 października. Aby intensywnie pracować, używali swoich najrozmaitszych sposobów, obiecując, że 15 grudnia puszcza do domu. Później wprowadzili normy, od których zależała ilość otrzymywanego chleba i jakość zupy, a normy były tak wygórowane, że nie do pomyślenia, aby człowiek mógł je wykonać.

W czerwcu 1940 r. przeniesiono mnie do obozu w Kozłowie koło Buska. Można powiedzieć, że tam był obóz karny. Na roboty pędzono nas do ośmiu kilometrów pieszo w jedną i drugą stronę, praca 12–14 godzin, bez żadnego odpoczynku, [również] w niedziele i święta i bez względu na pogodę. Jeżeli brygada słabiej pracowała, za karę wszyscy nosili ręce złożone do tyłu podczas marszu w jedną i drugą stronę. Po skończeniu danego odcinka z powrotem zostałem przesłany do Podlisek koło Lwowa.

Na początku lutego 1941 r. obóz został zlikwidowany, a mnie z innymi przewieziono do Kurowic pod Złoczowem, a następnie na początku maja do Olszanicy, gdzie było urządzone lotnisko wojenne. Warunki pracy nic się nie zmieniły, jedno tylko, że bez przerwy szerzyli między nami swoją propagandę, choć ta nie odnosiła żadnego skutku. Duch panował dobry, pełen nadziei na lepsze. Tam pracowałem aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. W tym samym dniu popędzono nas przez Złoczów do Wołoczysk. Marsz był tak forsowny, że żołnierze padali jeden po drugim. Obchodzono się z nami okropnie, bez pożywienia i wody, jeżeli kto upadł – szczuto psami, a jeżeli pies poszarpał – po prostu dobijano. I tak w Złoczowie podczas marszu jeden z NKWD-zistów przebił bagnetem niejakiego Dymka rodem z Warszawy, byłego *kornbota* z Olszanicy, drugiego zaś postrzelono za to, że krył się przed nalotami. W Zborowie zaszczuto i dobito sześciu ludzi – pamiętam tylko jedno nazwisko: Kieliszek z Warszawy – za to, że się pochowali podczas noclegu w tamtejszym obozie. Przed Podwołoczyskami upadłem z wycieńczenia i żeby nie pomóc kolegów, byłby i mnie ten sam los spotkał co innych.

W Wołoczyskach spędzono nas nad rzekę, spadł okropny deszcz, ziemia – i tak podmokła – zamieniła się w jedno bagnisko, błoto sięgało do kostek. Tak nas trzymano dwie doby. Ja zapadłem na biegunkę i żółtaczkę i tylko dzięki usilnej pomocy dr. Danika ze Lwowa i kolegów zabrano mnie w dalszą drogę, gdzie nas załadowano do wagonów towarowych i powieziono do Starobielska.

Po ogłoszeniu amnestii jeszcze wypędzono pewną część na robotę, do budowy lotniska. Dopiero po przyjeździe pana ppłk. Wiśniowskiego i jego interwencji, już jako żołnierzy Wojska Polskiego wywieziono nas do Tockoje.

Miejsce postoju, 5 marca 1943 r.